

Reżyserja p. Wysockiej i ślicznie pomyślane przez Drabik dekoracje, umiejętnie podkreśliły ową baśniowość sztuki. Utrzymano wszystko w przyciszonym tonie i uzyskano jedno z tych rzadkich przedstawień, po których pozostaje w duszy widza jakby echo pięknej muzyki molowymi akordami brzmiące, a po przez nie słyhać kwilącą duszę poety, żalącą się na świat rzeczywiście, na miłość i śmierć, rządzącą losami ludzi.

— „Dziady”, owo przepiękne misterjum dramatyczne, które nas przeraża ogromem problemów i skłania do skupienia i nastrojenia na najwyższe napięcie wszystkich strun naszej myśli i uczuciowości, kiedy się doń zbliżamy — wystawiono na scenie teatru imienia Bogusławskiego. Dokonano wielkiego wysiłku, oddano zapal i odwagę w borykaniu się z trudnościami.

A jednak reżyserja poszła w kierunku najmniejszego oporu — i zamiast szukać nowych rozwiązań na zagadnienia sceniczne, jakie dramat nasuwa — wymykała się, ułatwiała sobie trudności, a często popełniała wprost rażące błędy, które wywoływały ciche uśmiechy u widzów, wstrzymujących się od głośniego śmiechu na widok tych niezgrabności.

Zarzuty te odnoszą się głównie do drugiego obrazu, w którym Guślarz w kaplicy spełnia starodawny obrządek „Dziadów”. Reżyserja ustawiała zawsze, w momentach najpoważniejszej akcji Guślarza spełniającego jakieś czary, tłum ludzi na przodzie sceny tak, ażeby on zasłaniał tę główną postać i oczywiście ułatwiał jej wykonywanie czynności, której publiczność nie widziała, a kiedy Guślarz czynność tę dokonywał i miał się duch zjawiać, rozsuwała się owa grupa ludzi jak kurtyna na dwie strony i okazywał się widzowi Duch przeważnie z lampkami elektrycznymi na głowie na znak, że żyjemy teraz w czasach pary i elektryczności i że dziś takie fantomy są możliwe. Kiedy jednak zawisły w oknie kaplicy na sznurkach przywiązanych do patyków obwisłe tekturowe płatki i bujały nad głową dziedzica — moja sąsiadka, słuchająca dotychczas wszystkiego z przejęciem, zaśmiewała się w chustkę od nosa w czym jej wkrótce całe otoczenie towarzyszyło. Czyżby teatr imienia Bogusławskiego nie znalazł żadnego z malarzy, którzyby mu poradzili, jak plastycznie takie zagadnienia rozwiązywać?

Środek, jakimi się teatr posługiwał przed siedemdziesięciu laty przy oświetleniu naftowym lub świecami, dziś są przy elektryce niedopuszczalne. Papierowy ptak, oświetlony lodówką i rzucający olbrzymi cień na ścianę, mógł wówczas wywołać efekt ducha złego — ale dziś jasno oświetlony, przez kilka set volt pozostanie zawsze skrawkiem tektury.

Mimo tych wielkich usterek, przedstawienie w całości wypadło dobrze, wielką jest to zasługą dyrekcji, że ten właśnie „narodowy dramat” wybrała na początki swej działalności.

Franciszek Siedlecki.

KSIĄŻKI.

STEFAN ŻEROMSKI. *Dla młodzieży. Wybór Pism. ksiązka II*, Warszawa 1922 J. Morikowicz.

Autor powybierał ze swolch pism fragmenta, odpowiednie dla młodzieży. Są tu wyjątki z *Mogily z Popiołów*, z utworu: *Wszystko i nic*, z *Charitas* i t. S. to sceny bohaterskie, podniosłe, pobudzające ku miłości ojczyzny, a z drugiej strony piękne krajobrazy i widoki natury. Z jednej strony masz tu *Wilki*, *Zamiec*, *Poranek zimowy*; z drugiej jest *Wyprawa za San*, *Potyżka*, *Honor*, *Śmierć Jasiolda* i t. Nietylko piękne obrazy i szlachetne uczucia biją z tych kart; są to zarazem wzory pięknej mowy polskiej, wzory pięknej prozy.

BERNARD KELLERMANN. *Ingeborga. Powieść tłum. B. Neufeldowna*, Warsz. 1921. Hoesick.

Kellermann słynie głównie, jako autor *Tunelu*. Jest to gloryfikacja energii amerykańskiej, marzenie o kolosalnym przedsięwzięciu inżyniersko-technicznym: walka inteligencji ludzkiej z żywiołem, uparczywa i wytrwała — poprzez katastrofy prowadząca, wybuchy, śmierć paru tysięcy ludzi, poprzez strajki, więzienie, pożar i bankructwo: uwięziona zwycięstwem po 24 latach pracy. Ten, który umiał tak potężnie malować herculesową walkę człowieka z naturą, tu w Ingeborga maluje nam słodkie, idylliczne widzenia, zjawę czarującej istoty niewieściej, tajemnice głębokiej i na wszystko gotowej miłości. Ingeborga — to córka rybaka, ale ma w sobie tyle wdzięku, że wszyscy ją kochają: Pazzo — ples i bohater powieści, książę Axel i młody student i myśliciel i parobek. Ona zaś przechodzi przez życie rozpięwaną, uśmiechniętą, rozlewającą dokola czar, szczęście i zadowolenie. Niezmiennie świeże i pełne życia są wrażenia i opisy natury. Na tle tak wielu przykrych i ponurych zdarzeń — jakie dokola nas się toczą — powieść ta jest jakby złotym promieniem, przenoszącym nas w krainy jasne i dalekie od rzeczywistości codziennej. Ingeborga — to wytchnienie.

ADAM BRZEG.

Zwierciadło kobiety.

Powieść.

VII.

Rozchwytny w mig został nakład porannego „Dziennika”. Artykuł Szeligi o wyrafinowanym morderstwie na bezbronnej kobiecie, oraz sensacyjne wiadomości, iż „jak nas w ostatniej chwili informują, sędzia śledczy roztoczył nad p. Karolem Humanieckim, przemysłowcem, areszt domowy, w związku ze strasznym morderstwem, popełnionem na jego żonie”, sprawiły, że przed administracją pisma powstał ogonek olbrzymi, pragnących nabyć dziennik, iż do południa nakład został wyczerpany kompletnie.

Szeliga bowiem wystąpił tu w swoim sprawozdaniu z tajemniczych wydarzeń przy pl. Łackiego, jako surowy oskarżyciel Humanieckiego. Postawił mu zarzut formalny, że on jest moralnym sprawcą śmierci swej żony. Scharakteryzował młodą Iry Humanieckiej, córkę wybitnego, bogatego, adwokata tutejszego, przedstawił jej życie cudnego, pięknie rozwiniętego kwiatu, który zwarzył szron zimnej, egoistycznej natury jej męża, Karola H.

W zarysie narzekał Szeliga ten konflikt rodzinny, powstały na tle nieporozumienia się dwóch odrębnych, biegunowo sobie różnych organizacji psychicznych.

„Ten konflikt — pisał — rozrósł się do rozmiarów domowej tragedji, która była ogromem udręczeń dla nieszczęśliwej kobiety. Wpleciona w żelazne, rozpalone koło moralnych katuszy, młoda kobieta, stworzona do szczęścia i radości życia, gasła w cichych murach swej, nieomal klasztornej samotni, za dumna, by poskarżyć się na swe życie nieszczęsne, za szlachetna i wyniosła, by poza ogniskiem rodzinnym szukać tego szczęścia, którego jej nie dał związek małżeński”.

„Dla mnie — wołał gromko Szeliga — jest w zasadzie obojętnem, czy sprawca tych wyrafinowanych katuszy wołał patrzeć spokojnie, z zimną krwią, jak doprowadzona do ostateczności żona jego, w przystępie depresji i rozpaczliwej owinętej całunem melancholji, rzuci się w przepaść niebytu i roztrzaska swą cudną, misternie rzeźbioną głowę o wystający cypl skalny... czy też czynnie w swej zaciekłej złości i jakimś nieludzkim okrucieństwie, posunęła się do dokonania na niewinnej, nieszczęśliwej kobiecie, zbrodni...”

„Sprawca bo jej zgonu moralnym jest on i w tym i w drugim wypadku!”

„A czy p. Karol Humaniecki potrafi, czy nie potrafi ustalić swego alibi w porze między 12-tą w południe, a czwartą popołudniu, kiedy to właśnie zmarła konała w okrutnych męczarniach, a mąż jej, jak sam zeznał komisji śledczej, nie ratował jej wiszącej na haku lampy, lecz najpierw biegł do sąsiednich pokoi patrzeć, czy mu czego nie zrabowano, poczem dopiero wybiegł wołać o pomoc sąsiadów, i wtedy aż odciął zwłoki zmarłej już i zimnej ofiary zdzierających namiętności — dla mnie pewnością jest rzecz jedna: śmierci jej winien jest on!”

To oskarżenie, rzecz charakterystyczna, podzieliło z miejsca całe miasto. Szeliga miał za sobą niemal jednolitą opinię mieszkańców, nawet sędzia śledczy i komisarz policji prowadzący dalsze badania na własną rękę, przyjmowali, że to stanowisko „Dziennika Porannego” jest najbardziej zbliżone do prawdy, a całe śledztwo toczyło się teraz właśnie po linii ustalania faktów, co czynił i gdzie się znajdował wówczas, w ten pamiętny wtorek, między godziną 12-tą a 4-tą popołudniu Humaniecki, i czy nie on właśnie był głównym aktorem tego tragicznego zdarzenia.

* * *

A jednak Szeliga czytając swoje własne sprawozdanie z nieszczęsnych finałów życia tak niegdyś przez siebie ukochanej Iry, nie był jeszcze zadowolony ze siebie. Czuł, że wokół niego jest jeszcze jakaś pusta przestrzeń zagadkowej tajemnicy, że zgon drogiej osoby kryje w sobie głębszy dramat, którego ekspozycja wrosła głęboko konarami w duszę obojga głównych, tragicznych aktorów dramatu.

Wiedział od samej Iry Humanieckiej, z jej poprzednich opowiadań o mężu, że Karol jest w niej bardzo zakochany, że poza nią nie widzi świata, nie widzi innych kobiet.

Małżeństwo trwało około lat siedmiu i oto na dnie niedawnego szczęścia, opromienionego

życiem dwóch pięknych, jasnowłosych chłopczków, otwarła się przepaść. Z głębokiej krynicy życia wypłynęły złe węże, okrutne gady nieporozumień, owinęły się dokoła serc obojga małżonków, ssać poczęły szczęścia tkanę słoneczną, a zatruwać jadem, kąsać złością i okrutnym zapamiętaniem się.

Czuł Szeliga, że samym niedoborem małżeńskim trudno tłumaczyć zrodzenie się tej cichej tragedji w życiu obojga, która otwarła wrota na oścież zwojna pelzającemu ku domowi — nieszczęściu.

Wina leżała po stronie jego, Karola, czy jej? Czy podłożem konfliktu było zdurzenie się, wypalenie się zniczą miłości, czy też do ogniska domowego zakradły się jakieś larwy przewiny, jakieś koszmarny grzechy popełnione przez jedno z dwojga małżonków, nie do przebaczenia, nie do zapomnienia. Klucz do zagadki nosił w sobie Karol Humaniecki. Ale ten miał teraz coś ze zmęczonego, zaciętego w bólu i uporze, sępa. Błady, niezmierznie błady, ze zmęczonego, głęboko wpadniętym oczyma, spoglądał nieruchomo w przestrzeń, a gdy go ktoś zagadywał, z gestem zniecierpliwienia patrzył złotymi plomkami trawionych dziwnym ogniem oczu przed siebie i odpowiadał monosyllabami.

Gdy urządzono drugą jeszcze rewizję lokalną w mieszkaniu Humanieckich, celem stwierdzenia szeregu szczegółów wątpliwych, w obecności Karola, tenże siedział zadumany w kącie salonu, nie interesując się już jakby rozgrywającym się około niego epiologiem tragicznych wypadków. Z pochyloną głową patrzył tępo w ziemię, obojętny na wysiłki śledztwa zbliżania się ku tajemnej granicy prawdy.

Mierzono odległość haka lampy od ziemi, urządzono nawet próbną wieszanie jednego z policjantów, byle tylko uprawdopodobnić jedną z dwu koncepcji, pozostających do rozstrzygnięcia: morderstwo, czy samobójstwo.

I gdy sędzia śledczy stanął raz jeszcze przed nieszczęśliwym człowiekiem, i streszczając mu wyniki śledztwa, zaznaczył, że nie ma mowy o morderstwie rabunkowem, a ma się do czynienia albo z samobójstwem, lub z morderstwem i zadał mu pytanie, jak on on sądzi o tem, Humaniecki głosem głuchym, jakby gdzieś z przepaści idącym, rzekł cicho:

— Dzisiaj myślę, że Ira popełniła czyn rozpaczliwy...

— A jak przypuszcza pan, co mogło ją do tego skłonić? — pytał pochwytliwie sędzia śledczy.

— ... bez słowa Humaniecki wykonał jakiś niezwykły, falisty, półkolisty gest ręką, trudny do odcyfrowania hieroglifu psychicznego, i nie rzekł nic.

Ale w tym momencie Szeliga, który stał z boku i nie nazbyt wysuwał się na oczy Humanieckiemu, nabrał pewności, że Karol H. wie coś więcej, że predycedensy tragedji domowej były mu znane, ale o nich mówić nie będzie nigdy, i milczeć do grobu.

I Szeliga, który dziwnie intuicyjnie uchwycił ten niezwykły, falisty, półkolisty jakiś gest ręką, wyczuł w tem jednym niemem powiedzeniu, że Humaniecki jakąś straszną, wielką winę odpycha precz od siebie i zwała ją raczej na cienie zmarłej, i dlatego milczy zawzięcie i zataja jakąś prawdę, jakąś rzeczywistość bolesną...

Gdy opuszczano za chwilę mieszkanie przy pl. Łackiego, Szeliga siedział zadumany, bijąc się z myślami co do znaczenia owego niedomówionego hieroglifu-gestu. Był teraz dziwnie przekonany, że Humaniecki ukrywa coś przed światem, by nie zohydzać już pamięci zmarłej, by samemu nieść odtąd twardy krzyż nieszczęścia na swych ramionach.

Nieuświadomione, lecz drzemające jakby pod progiem świadomości, wątpliwości nagle ogarniać poczęły Szeligę. Siedział w wietrzny, chłodny dzień i pozwalał wichrom chłodzić swą rozpaloną głowę. Odczuwał jakiś niepokój. Raz jeszcze w pamięci ustalał pewne, niezbita fakta i próbował poddać je raz jeszcze analizie. Pozornie konstrukcja myślowa jego oskarżenia była oparta na wszelkiem prawdopodobieństwie. Wszystkie dane zdawały się popierać wyłącznie jego podejrzenia. A jednak czuł, że w twarzy i gestach Humanieckiego kryje się coś nieuchwytnego, jakaś męka męczennika tajemnicy, jakiś stygmat zaciętego oporu, w kierunku zachowania milczenia za wszelką cenę...

Byłoby to wysilek mordercy, lub współnika mordu, w kierunku utrzymywania się w tej roli, i nie zdradzenia się ani słowem? Czy też jest to męska decyzja nie obnażania najskrytszej tajemnicy wobec tłumów, by z rzeczy świętych, drogich, cennych, choćby ze względu na